NIEDZIELA 14 PAŹDZIERNIKA 1934 R. Nr. 15

MÓJ ŚWIATEK

Dwutygodniowy dodatek „Kurjera Zachodniego" dla dzieci.

Pod redakcją **Czarnego Wujaszka.**



NASZA ORKIESTRA.

Nasza orkiestra pięknie gra
Polki, mazury, krakowiaki.
Trąbka wciąż woła: tra ta ta,
Flet śpiewa, jakby wiosną ptaki.

Bęben zawarczy, aż drży świat,
Basetla bucząc w tył się chyli,
Klarnet łka, chociaż tęgi chwat,
Czasem z skrzypcami wraz zakwili

Hej, niech muzyka, długo trwa
W melodji, której uczą ptaki.
Nasza orkiestra pięknie gra
Polki, mazury, krakowiaki.

KOCHANE DZIECI!

Jesień rozpoczęła się na dobre. Po ślicznej pogodnej tak zwanej polskiej jesieni nadeszła pora deszczowa i chłody. Jeszcze coprawda dość daleko do mrozów, ale już wszystkie rodziny, które żyją w niedostatku, z troską patrzą w najbliższą przyszłość. Chłody jesienne i zimowe to dla nich prawdziwa udręka, do codziennych bowiem braków pożywienia dochodzi jeszcze brak opału i ciepłej odzieży na zimę. Dlatego to w tym okresie w miastach odbywają się tak zwane tygodnie miłosierdzia, o których wkrótce z gazet usłyszycie.

Ale wszystkie dzieci dobrze wiedzą, że dobrym i miłosiernym trzeba być zawsze nietylko w tygodiu miłosierdzia. Śpieszyć z pomocą potrzebującym jest obowiązkiem każdego, w kim bije serce, umiejące współczuć niedoli ludzkiej. Wiem, że niejedno z Was, drogie dzieci, pomaga biedniejszym od siebie lub też w inny sposób spełnia dobre uczynki. Chciałbym bardzo, aby o tych Waszych uczynkach dowiedziały się wszystkie dzieci, czytające „Mój Światek". A wiecie dlaczego? Oto dlatego, aby te Wasze szlachetne postępki stały się dobrym przykładem do naśladowania dla innych.

Tedy proszę Was o nadsyłanie do „Mojego Światka" opisu ostatniego Waszego dobrego uczynku. Najładniejsze opisy prócz tego, że znajdą się na łamach „Mojego Światka", będą jeszcze nagrodzone.

Oczekuję od Was dużo listów w tej sprawie.

CZARNY WUJASZEK.

ZEMSTA TUBLAJA.

Straszliwie żałosne trąbienie przerwało ciszę indyjskiej dżungli.

— Na wedy, Sahibie, nie podoba mi się ryk tego słonia. To musi być jakiś bardzo zły słoń.

W głosie Mukkuma przebijała nuta troski, gdy zwrócił się z temi słowy do Marka, jedynego białego człowieka w całej karawanie.

— Miejcie się na baczności — dodał jeden z krajowców — jeśli nas zaatakuje, musimy uciekać.

Marek nadstawił uszu, poczem chwycił Mukkuma za ramię.

— To nie jest zły słoń. Mukkumie. Biedne zwierzę cierpi. Zobaczymy, co mu dolega.

Krajowiec nie objawiał wielkiej ochoty do mieszania się w sprawy dżungli, ale słowo Marka było dlań wszystkiem. I gdy biały człowiek rozgarniał zarośla, aby utorować sobie drogę do słonia, Mukkum kazał zatrzymać się tragarzom i podążył w ślad za swoim panem. Po pięciu minutach dotarli do małej polanki. Widok, który ujrzeli, wywołał na łagodnej zazwyczaj twarzy Marka wyraz gniewu i oburzenia.

Przykuty łańcuchami do olbrzymiego drzewa stał po drugiej stronie polany gigantyczny indyjski słoń, wspaniałe zwierzę ze złotemi obręczami na przyciętych do połowy kłach. Obok niego stał krajowiec z wyższej kasty, w europejskiem ubraniu i turbanie na głowie. Człowiek ten dzierżył ostro zakończony, okuty żelazem kij i bił i kłuł nim słonia bez miłosierdzia.

Właśnie zamierzył się do nowej serji uderzeń, gdy poplamiony krwią kij został mu wyrwany z ręki.

Krajowiec obrócił się i ujrzał ku swemu ogromnemu zdumieniu Marka.

— Ty bezwstydny łajdaku — zawołał ten ostatni i uczynił ruch, jak gdyby chciał poczęstować krajowca odebranym mu kijem. Ale w ostatniej chwili rzucił go w zarośla. Zdumienie krajowca przeszło po chwili we wściekłość i stek przekleństw w narzeczu Urdu posypał się na głowę europejczyka.

— Ty biały głupcze! — skrzeczał — niebezpiecznie jest mieszać się w sprawy Tundry Lala! Zginiesz!

Z temi słowy rzucił się jak kot na Europejczyka. Ale Marek był przygotowany na atak. Pięść jego spadła błyskawicznie na szczękę krajowca i Tundra Lala upadł nieprzytomny na ziemię.

— Dobra jest — zawyrokował Marek i rozkazał Mukkumowi: — Uwolnij słonia. Ciekaw jestem do kogo należy; jeśli do tego łotra, to sądzę, że będzie zadowolony, jeśli damy mu ujść w dżunglę.

Radża mówił do Marka:

— Zapewniam pana, że jeśli podczas procesji w święto boga słoni, Genesza, zaczną się rozruchy, żaden z białych nie ujdzie żywy z mego państwa. Ja zaś poprostu zostanę wypędzony, a rządzić będzie mój przyrodni brat.

Marek siedział w pałacu radży w Rajnepur. Radża, który studjował w najlepszych uniwersytetach Wielkiej Brytanji, zwracał się do niego w poprawnym angielskim języku.

— A rozruchy — ciągnął dalej radża — zaczną się tego dnia, jak dwa a dwa cztery, gdyż mój przyrodni brat jest moim wrogiem i wrogiem bez skrupułów... Stale podburzał mój lud przeciw angielskiemu nadzorowi. Mała iskra wystarczy, by wzniecić ogień i on przygotował sobie taką iskrę: ukradł świętego słonia, Tublaja, który musi ukazać się jutro w procesji ku czci boga Denesza. Gdy to się nie stanie, moi przesądni poddani uwierzą, że Tublaj opuścił mnie, ponieważ nie jestem odpowiednim władcą.

Oczy Marka zabłysły dziwnie, gdy radża wspomniał o skradzionym słoniu. Przypomniała mu się wczorajsza przygoda.

— Niech mi pan powie, radżo — spytał — czy pański przyrodni brat nie nazywa się przypadkiem Tundra Lal?

— A-a- pan skąd wie o tem? — zawołał zdumiony radża.

— Niedawno spotkałem go.

I Marek opowiedział o swej przygodzie w dżungli.

— Tak, to on — rzekł radża, gdy Europejczyk skończył. — Łajdak maltretował słonia, by już nie wrócił do osiedli ludzkich. Na Wisznu! Musimy znaleźć Tublaja przed procesją. A to nie łatwe zadanie!

— Oczywiście — mruknął — Marek. — Ale nie ma sensu pędzić ze dwie setki hindusów w poszukiwaniu za słoniem. Tublaj będzie za mądry, aby się dać w ten sposób

złapać. Proszę zostawić tę robotę mnie i memu służącemu, Mukkumowi. Jest to najlepszy poszukiwacz śladów, jakiego znam. Jeśli to leży w ludzkiej możliwości. Tublaj będzie jutro na procesji.

Pożegnawszy się z radżą, Marek poszedł na poszukiwanie swego służącego. Mukkum siedział przed lepianką i gwizdał na cienkiej trzcinowej piszczałce, ulubionym swym instrumencie.

— Chodź Mukkum — rzekł Marek. — Mamy robotę. I prawdopodobnie całą noc nieprzespaną przed sobą.

W pół godziny później Marek i Mukkum z drużyną, uzbrojoną w sieci i sznury, wyruszyli w drogę. Po forsownym marszu doszli do polany gdzie się rozegrała wczorajsza scena. Robiło się już widno. Mukkum zatrzymał wyprawę i rzekł:

— Czuję, że Tublaj jest niedaleko.

Rozkazał tragarzom, aby zostali na miejscu, sam zaś z Markiem poszedł dalej. Po kwadransie rzekł znowu, wskazując na mulisty staw:

— Tak, szedł tędy, aby się napić. Co teraz zrobimy, Sahib?

— Hm — mruknął Marek. — Najprostszą rzeczą będzie założyć sieci i schwytać go, gdy przyjdzie. Idź Mukkum i przywołaj tragarzy.

Mukkum puścił się w powrotną drogę. Ale nie sądzonem mu było dotrzeć do celu. Gdy przechodził pod gałęziami olbrzymiego drzewa, jakaś postać ludzka spadła wprost na niego. Mukkum upadł na czworaki i sięgnął po rewolwer, w tej chwili jednak silny cios pięścią w czaszkę pozbawił go przytomności. Gdy obudził się, spostrzegł, że jest przywiązany do pnia. Naprzeciw niego stał Tundra Lal.

— Więc tak — syknął spiskowiec. — Biały człowiek i jego słudzy wciąż się mieszają w nieswoje sprawy. Moi szpiedzy w pałacu donieśli mi, że przyjdziecie szukać świętego słonia. Ale ty, psie parszywy, nie będziesz dłużej mi zawadzał! Patrz!

Mukkum spojrzał w kierunku wyciągniętego palca. Okręcone koło grubej gałęzi trwało nieruchomo olbrzymie kropkowane cielsko.

Była to kobra, najjadowitsza żmija indyjskich lasów.

— Poznajesz ją zapewne — ciągnął dalej Tundra Lal. — Obawiam się, że niezbyt będzie się jej podobało twoje towarzystwo, gdy się obudzi, posmarowałem cię bowiem krwią zabitego jej młodego. Szkoda, że nie będę mógł się przyjrzeć, jak uderzy. Do widzenia. Niech Wisznu cię strzeże.

I z drwiącym uśmiechem na ustach zniknął.

Mukkum spojrzał w kierunku kobry. Nie śmiał krzyknąć, aby jej nie obudzić. Był również zbyt daleko od ścieżki, aby się spodziewać, że Marek nadejdzie, zaniepokojony jego nieobecnością, i uwolni go.

Nagle Mukkum zadrżał. Kręte zwoje poruszyły się. Wkrótce kobra spełznie z drzewa, aby się napić. A wówczas...

Hindus spoglądał rozpaczliwie wokół w poszukiwaniu ratunku. I nagle szczęśliwa myśl przyszła mu do głowy. Spojrzał na trzcinową piszczałkę, umocowaną u pasa; jeśliby mógł ją wyciągnąć, możeby znalazł ratunek.

Usiłował dosięgnąć ustami instrumentu. Pęta wrzynały mu się w ciało. Wreszcie chwycił zębami ustnik.

Była to najwyższa pora, gdyż kobra spełzła już z drzewa i poczuła ślad człowieka. Powoli przypełzła do Mukkuma, uniosła swą potężną głowę... Hindus widział jej rozdwojony język, wysuwający się i chowający szybko — wstęp do uderzenia zatrutemi zębami...

Wtedy pokonując ogarniający go coraz bardziej strach, zaczął dąć w piszczałkę.

Kobra zatrzymała się, jakby zdziwiona, słuchając nieznanych dźwięków. Powoli głowa jej zaczęła się poruszać w takt muzyki.

Narazie Mukkum był uratowany

Marek, który siedział na pniu obalonego drzewa, czekając na wiernego sługę, zerwał się nagle. Jakieś pasiaste cielsko przewinęło się wśród zarośli. Jeden rzut oka wystarczył — to był tygrys. Markowi zdawało się dziwnem, że nie zaatakował go.

Tygrys poszedł w stronę, skąd miał przyjść Mukkum. Może go już poczuł? Marek zerwał się z drzewa. Odbezpieczył karabin i jął skradać się za tygrysem. Wkrótce spostrzegł, że zwierz zbiera się do skoku.

Naprzeciw tygrysa stał Tundru Lal.

Hindus zrobił desperacki ruch, by uskoczyć na bok, wyciągając jednocześnie rewolwer. Strzelił, lecz chybił. To co się następnie stało, było dziełem jednej chwili. Marek nie chciał, aby ginął człowiek, choćby jego nieprzyjaciel, w morderczych pazurach dzikiego zwierza. To też skok tygrysa i strzał Marka nastąpiły jednocześnie. Tygrys padł z przedziurawionym łbem. Ciało jego poczęły wstrząsać przedśmiertne drgawki.

Tundra Lal oprzytomniał. Podniósł oczy od konającego zwierza i ujrzał Marka.

— Pan! — zawołał głosem, w którym zdumienie łączyło się z nienawiścią. Lecz wkrótce opanował się podszedł bliżej i rzekł, wyciągając rękę:

— Stokrotne dzięki, biały Sahibie, za uratowanie mego mizernego życia.

Ale Marek nie ujął podanej mu ręki. Mógł ocalić życie Hindusa, ale nie chciał uściskać dłoni, która przygotowywała zgubę jemu i jego przyjacielowi radży.

Oczy Tundry Laly zaświeciły ponuro. Nagle spojrzał ponad ramieniem Marka i wydał cichy okrzyk. Był to podstęp, gdyż w chwili, gdy Marek bezwiednie obejrzał się, Hindus wyrwał mu broń z ręki, odrzucił daleko w zarośla i sam odskoczył w tył.

— A teraz biały głupcze jesteś w mojej mocy! — zawołał. — Poznasz co to znaczy odtrącić dłoń Tundry Lala. Nie uda ci się sprowadzić słonia do człowieka, który jutro da głowę. Zginiesz, a kości twoje rozwleką po puszczy dzikie zwierzęta.

Zwolna jął podnosić rewolwer do oka.

Marek nie stracił zimnej krwi.

— Strzelaj i idź do djabła — zawołał. — Będę pomszczony!

Tundra Lal zaklął i nacisnął cyngiel. Lecz kula nie dosięgła głowy Marka.

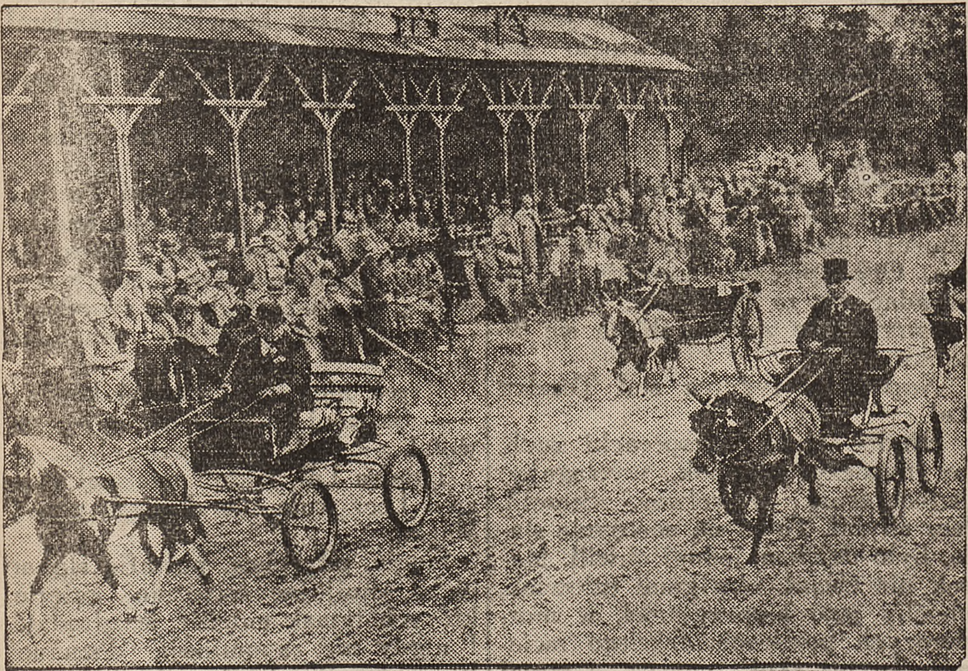
Słonie, gdy chcą, potrafią stąpac cicho, omijając ostrożnie gałęzie, których trzask mógłby je zdradzić. I nigdy nie zapominają doznanej krzywdy. W chwili, gdy Lal miał nacisnąć cyngiel, potężna trąba objęła go styłu i podniosła w górę. Strzał padł, ale kula jedynie musnęła kapelusz Marka.

To przybył święty słoń.

Hindus krzyknął i rewolwer wypadł z jego ręki. W następnej chwili słoń szybko zawrócił i pędem pobiegł ze swą napół uduszoną ofiarą w głąb dżungli. O pościgu nie było można nawet marzyć. Cóż zresztą mógł uczyni! Marek, nie posiadając nawet broni, którą podstępnie odebrał mu Hindus? Popatrzał zatem jedynie za ginącym już wśród drzew zwierzęciem i poszedł śladami wiernego Mukkuma. Nadszedł akurat w chwili, gdy piszczałka wypadła z ust omdlewającego sługi. Kobra przestała kiwać głową i gotowała się do ataku. Marek wycelował — padł strzał — trzeci już tego dnia — i kobra osunęła się na ziemię.

Marek odwiązując Mukkumę, opowiedział mu, co zaszło. Potem razem z resztą drużyny poszli na poszukiwanie Tublaja. Znaleźli go niedaleko od miejsca dramatu, stojącego spokojnie obok straszliwie zmasakrowanych zwłok Tundry Lala.

Następnego dnia procesja odbyła się i święty słoń brał w niej udział. Głowa radży z Rajnesuru ocalała.



W Holandji co pewien czas odbywają się wyścigi kucyków, zaprzągniętych do lekkich bryczuszek. Wyścigom przygląda się wiele tysięcy osób. Po wyścigach dzieci dają kucykom, swoim ulubieńcom, cukier i chleb.

Odpowiedzi Czarnego Wujaszka

Filatelistka z Sosnowca. Piszesz, że szkoła wasza przeprowadza się do nowego gmachu i że bardzo się cieszysz z tego, bo nowa szkoła jest śliczna i bardzo miła. Życzę Ci, by Ci się w niej jak najlepiej powodziło. Rozwiązania łamigłówek należy przysyłać możliwie najwcześniej, najlepiej do końca pierwszego tygodnia po ukazaniu się „Mojego Światka“. Kto późno nadsyła rozwiązania, ten nie znajdzie się w spisie tych, którzy dobrze rozwiązali łamigłówki i traci możność zdobycia nagrody. Opowiadanie zamieściłem i oczekuję od Ciebie dalszych, zawsze bardzo miłych liścików.

Lotnik. Za ofiarowanie mi swej współpracy bardzo dziękuję i oczekuję na obiecane nowele. Logogryf jest dobry ale za trudny.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁOWEK Z NR. 14 „MOJEGO ŚWIATKA“.

Logogryf: KOCHAMY BAJANA.
Łamigłówka: BOLESŁAW CHROBRY.
Łamigłówka kryształowa: JAN ZAMOJSKI.

DOBRE ROZWIĄZANIA NADESŁALI: 1) Maryjka Rutkowska, Choszczówka k-Warszawy; 2) Ewa Adamska; 3) R. W. D. 6; 4) Maniuś Wójciak; 5) Zbyszek z Sielca; 6) Marja Mężykowska z Sosnowca; 7) Witek Majewski; 8) Włada Wilkówna; 9) Nina K—ska z Dąbrowy; 10) Stefcia Gruszeczka z Sosnowca; 11) Kazimiera Biesaga z Sosnowca; 12) „Ira-Ari“; 13) Basia Bronowska; 14) W. Marszałek; 15) Wandzia Słykówna; 16) Jerzy Czerwiński, kop. Kazimierz; 17) Marysia Redek; 18) „Sokole Oko“ z Olkusza; 19) Jurek Ziemka z Będzina; 20) Bonek Krowicki; 21) Urszulka Sośnierzówna z Sosnowca; 22) Marysia Urbanówna; 23) „Wróbelek“ z Dąbrowy; 24) Wojtek C—cki z Pogoni; 25) „Czarna Perełka“ z kop. Paryż; 26) Teofil Barczyk z Sosnowca; 27) Mirusia Boska z Olkusza; 28) Krysia Klonowiczówna; 29) Michał Podolecki; 30) Wacław Aniołek z Sosnowca; 31) Jasia Rajczykówna; 32) „Blondyn“ z Dańdówki.

NAGRODY KSIĄŻKOWE OTRZYMALI:

1) Mirusia Boska z Olkusza — „Baśnie Andersena“. 2) Teofil Barczyk z Sosnowca — „Nowe Baśnie z 1001 nocy“. 3) „Blondyn“ z Dańdówki — „Wśród Indjan“.

ŁAMIGŁÓWKA
(Ul. R. W. D. 6 Będzin)

Z niżej podanych sylab ułożyć 5 wyrazów, z których pierwsze litery czytane z góry na dół dadzą nazwisko lotnika polskiego.

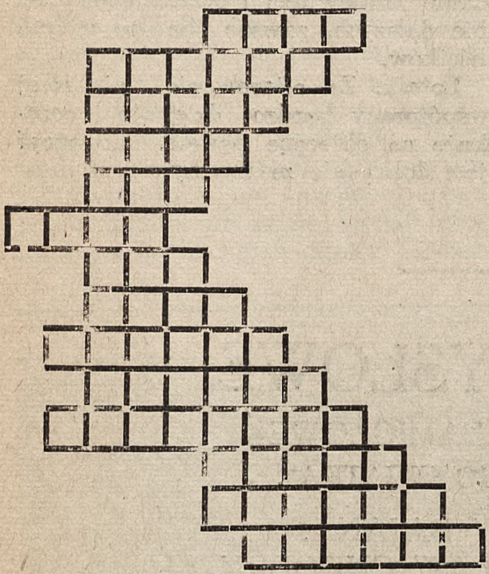
ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) Ptak, 2) Najmniejsza cząstka w wszechświecie, 3) Imię męskie, 4) samoglo-

ska, 5) Imię żeńskie.

SYLABY: Ja — bo — tom — jó — a — tal — na — cian — zef — a.

LOGOGRYF

(uł. K. Biesaga)



Ostatnie litery, czytane z góry na dół, dadzą nazwę rzeki w Zagłębiu.

MODLITWA DZIECKA

Pięcioletni Józio ma iść jutro poraz pierwszy do szkoły.

Wieczorem, przed udaniem się na spoczynek, Józio odmawia swój zwykły paciorek, poczem dodaje:

— I spraw, Boziu, żebym jutro rano obudził się o właściwej porze... Powiedzmy kwadrans na ósmą!...

MA PAPA SZCZĘŚCIE.

— No ojcze, pozwól że ci pogratuluję!

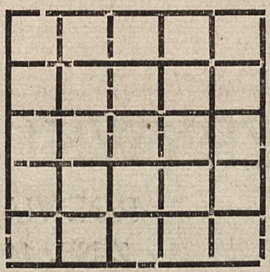
— A więc zdałeś egzamin?

— Przeciwnie, padłem, wobec czego nie musisz mi dawać tych przyrzeczonych stu złotych!

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) Taniec, 2) Inaczej gruby sznur, 3) Ptak, 4) Zwierzę na wymarciu, 5) Rzeka w Polsce, 6) Wielka pani, 7) Duchowny (prawosławny, 8) Dom właściciela ziemskiego majątku, 9) Góry w Rosji, 10) Miasto w Polsce, 11) Człowiek, badający ciała niebieskie, 12) Serweta używana do nakrycia stołu podczas posiłku, 13) Rzeka w Rosji, 14) Imię żeńskie.

KWADRAT MAGICZNY.

(Uł. Zbyszko Sosulski, Będzin)



W powyższy kwadrat wpisać pięć pięcioliterowych wyrazów w ten sposób by pionowo i poziomo miały to samo znaczenie.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) Wóz arabski, 2) Środek lokomocji dla jednej osoby, 3) Zwierzę domowe (wspak), 4) Imię żeńskie, 5) Sznur, na który Tatarzy łapią konie.

„WYPADEK W DRUKARNI“

(uł. „Filatelistka“)

Zecer, składając numer „Mojego Światka“, rozsypał przez nieostrożność szereg czcionek, które miały utworzyć 2 dobrze znane Czytelnikom „Mojego Światka“ wyrazy, mianowicie pseudonim redaktora. Niech Czytelnicy pomogą zecerowi złożyć z podanych czcionek owe wyrazy.

Czcionki są następujące:

C k z e a z r s n a y j u W.